№ 13. Warszawa, dnia 14 (26) Marca 1887 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Ś. P.

Józef Ignacy Kraszewski.

W zeszłym tygodniu, dnia 19 b. m. o godzinie 3 m. 38 po południu w Genewie, zmarł nasz znakomity pisarz, ukochany Jubilat, Józef Ignacy Kraszewski, z powszechnym smutkiem całego kraju.

Więzienie, tułactwo i straszna katastrofa trzęsienia ziemi, wyczerpując ostatki sił zgon ten przyspieszyły, wytrącając pióro z martwej ręki z którem się do ostatniej prawie chwili życia nie rozstawał.

Czem był ten umysł potężny tak żywą obdarzony wyobraźnią, jak niezmordowaną odznaczał się pracowitością, wiadomo powszechnie. Poeta, powieściopisarz, historyk, badacz, zbieracz, archeolog, piszący dla wielkich i maluczkich tego świata, znany był wszystkim choćby tylko czytać umiejącym i przez wszystkich szanowanym, uwielbianym i poszukiwanym,

Urodzony w pamiętnym roku 1812 dnia 28 Lipca, w Warszawie, przy ulicy Aleksandrya, wychował się na Podlasiu w Romanowie, będącym dotąd własnością brata jego Kajetana i pierwsze nauki pobierał w Biały radziwiłowskiej, po ukończeniu których kształcił się w Lublinie i w Świsłoczy, a ostatecznie w uniwersytecie wileńskim na wydziale literackim.

W r. 1832 po próbkach pismienniczych mniejszej wartości, ale zawsze zapowiadających w przyszłości wielki talent, wystąpiwszy z pierwszemi powieściami, a więc w dwudziestym roku swego życia, jak: *Historya organisty*, *Wieczór* i *Pan Damazy*, odrazu zwrócił na siebie uwagę powszechną i zaraz w następnym roku wydał: *Ostatni rok panowania Zygmunta III*, *Kościół ś-to Michalski* i *Pan Karol*.

Spełniając życzenie rodziców w roku 1837 wziął w dzierżawę na Wołyniu wieś Omelno i został rolnikiem, poślubiwszy w następnym roku Zofię Woroniczównę. Później w roku 1840 nabył wieś Gródek w okolicy Łucka, ale wkrótce poznał, że praca około roli z literacką nie mogą się zgodzić, a gdy przytem przyszły kłopoty i klęski z każdym rokiem zwiększające się, rozstał się z rolą na zawsze i w roku 1853 osiadł w Żytomierzu. Tam wkrótce obrany kuratorem miejscowego gimnazyum, został dyrektorem nowo zbudowanego teatru, prezesem Towarzystwa dobroczynności i naczelnikiem komitetu statystycznego.

Zajęcia te zwykle honorowe, Kraszewskiemu zabierały wiele czasu, bo poświęcał się im całą duszą pragnąc nadać jak najlepszy kierunek odpowiedni do ich przeznaczenia. Działalność też jego pożyteczna nie miała granic: dopomagał wszystkim czem mógł: radą, pieniędzmi, wstawianiem się, wpływami, aż wreszcie natrafiwszy na przeszkody nie do usunięcia, przeniósł się do Warszawy w roku 1859 i objął redakcyą Gazety Codziennej, z której w roku 1862 ustąpił i zmuszony okolicznościami wyjechał za granicę.

W przegląd choć pobieżny prac literackich zmarłego Jubilata wdawać się niepodobna, są ich setki tomów i setki badań i korespondencyi i to w tak wielkiej liczbie, że prawie niedowierzenia, aby jeden człowiek mógł to wszystko pisać i napisać. A jednak tak było rzeczywiście, ani jednego wyrazu nie wysłał w świat od siebie, aby własną jego nie był pisany ręką, nawet rękopismy powieściowe, zwykle bez przekreślenia choćby jednego wyrazu przygotowane, jeżeli uznał nieodpowiednio opracowane, przepisał powtórnie, a nawet i trzy razy, co miało miejsce ze *Starą Baśnią* tak słusznie chwaloną.

Aby uprzytomnić sobie choć w streszczeniu, całą pożyteczną działalność Kraszewskiego, dość przypomnieć, że przed rokiem 1830, czytelnictwo u nas nadzwyczaj mało rozwinięte, głównie ograniczała się na francuzkich powieściach i romansach, tłomaczeniach Walter-Skota i rzadko zjawiających się powieściach Niemcewicza, Bernatowicza, Wężyka, pisanych po polsku. Kraszewski dopiero pierwszy, dając obrazy z własnego społeczeństwa tworzone, zwrócił na nie uwagę powszechną i stał się twórcą powieści prawdziwie polskiej, której dotąd prawie nie mieliśmy.

Na tem kończymy naszą pobieżną wzmiankę o stracie człowieka tak czcigodnego i wielce zasłużonego. Ostatnie chwile jego żywota zatrute były smutkiem, tęsknotą, doświadczoną niesprawiedliwością i wszystkiemi męczarniami duszy i ciała bardzo dotkliwemi.

Myśląc o tem boleść zamyka usta i oczy wilżą się łzami. Zgasłeś zacny Mężu, ale pamięć twego żywota nigdy nie zaginie. Ukochałeś wiele, uwielbiałeś wszystko co piękne, zacne i szlachetne, cierpiałeś tortury życia a i ludzkiej niesprawiedliwości wiele, niechże ci wieczność da ten spokój jakiego daremnie szukałeś w doczesności.

J. K. G.

PIERWSZE KŁOPOTY.

NOWELLA

Świętopełka Czecha.

Z czeskiego przełożyła

Helena R.

(Dalszy ciąg.)

Oh, proszę, pokażcież nam prędzej wasze bajeczne piękności—błagała przymilając się Jarmiła.

— Jarmiło! jesteś zbyt wymagającą — napomniała ją dość ostro guwernantka.

— Czy chcesz, aby pan Leszan wstał od stołu?— zgromił ją znów ojciec.

Ale uprzejmy malarz już wstał i udał się do sąsiedniego pokoju.

Po chwili wrócił, niosąc ciężkie album i położył je przed Jarmiłą na stole.

— Ah! jakie śliczne, jakie piękne! — wołało w upojeniu dziewczę. — Trzewiczek który trzyma, jest nadzwyczaj wyraźny, a druga ściska w paluszkach kwiatek, ale jaki żywy, czerwony jak ogień; zdaje mi się, że mogłabym go zerwać. Nie skrzywdziliście ich nic a nic, bo wyglądają jak żywe, jakby nam uciec chciały.

— A kto to jest ten mąż dostojny, w czarnym stroju, siedzący na ośle, taki poważny a zarazem piękny?

— Czcigodny przeor cichego klasztoru w Armenii, w którym gościłem kilka nader miłych tygodni. W murach tego samotnego ustronia album moje poraz pierwszy ujrzało światło dzienne. Czas, tam przepędzony, liczę do najprzyjemniejszych w życiu. Wieczorami wielebny mnich opowiadał mi dzieje iście świętego życia swego, najgorliwszego we mnie znajdując słuchacza. Czy uważasz łagodny wyraz tych oczu, niczem niezmąconą pogodę czoła i słodki uśmiech na miłych ustach? Życie świątobliwego męża podobne jest do pogodnego, jasnego poranku. A jednak, ma on jedną maleńką słabość... Czy widzicie panie do siodła przywiązany mieszek skórzanny? W tej to właśnie torbie oryginalnej mieści się cały grzech wielebnego mnicha. Przywozi w niej co wieczór niewielką butelkę pysznego, granatowego płynu, zwanego winem, które nadzwyczaj smaczne, miało też i we mnie chętnego zwolennika. Ale, przepraszam, może to was nie bawi, moje miłe panie? — rzekł zwracając się do panny Bożyckiej.

— Ah! a to co? zkądże tu zabłądziła, wcale nie Armeńska, ale już europejska główka? — zawołała Jarmiła.

Rysunek przedstawiał powabną główkę ślicznego, młodego dziewczęcia, w ramach okienka, uwieńczonego dokoła suto pnącym się dzikim winem. Gdy Leszan spojrzał, odezwał się z niejakiem zakłopotaniem:

— Sam nie wiem doprawdy zkądby się to wziąć mogło, nie przypominam sobie, kiedym rysował ten obrazek.

— Ej! — pogroziła mu różowym paluszkiem Jarmiła — ej, dla rusałek armeńskich, chcecie o swoich zapomnieć.

— Ah, jakież to ciekawe z was i podejrzliwe stworzenia!

— A więc, rysunek ten robiony był w samotnej celi klasztoru, w Armenii?

— I, ażeby spowiedź wasza było zupełną — rzekła z uśmiechem guwernantka — to proszę dodać jeszcze, że był robiony pod wpływem miłego wspomnienia ze stron rodzinnych.

— Ale, proszę spojrzeć — wykrzyknęła nagle Jarmiła, podając album guwernantce — jakie podobieństwo! To wasze są rysy, zapewne tak wyglądaliście w latach młodszych.

— Istotnie, wielkie podobieństwo — przemówił Leszan, patrząc z uwagą na mocno zarumienioną pannę Bożycką.

Album poczęło z ręki do ręki wędrować i wszyscy jednozgodnie przyznali słuszność uwadze małej Jarmiły. Leszan zabawiał towarzystwo opowiadaniem wesołych i śmiesznych przygód i dokazał tego, że obie panie przy końcu wieczerzy zachwycone były miłym i zajmującym gościem. Nawet pan Wielimski ożywił się i śmiał serdecznie, a odcień smutku, który mu prawie przyrósł do oblicza, dzisiaj ustąpił zupełnie. Już dobrze po północy guwernantka zabrawszy wychowankę, oddaliła się do swego pokoju, Janusz, jeszcze wcześniej opuścił towarzystwo, obaj więc starzy przyjaciele pozostali sami.

— Słuchajno, kochany Prokopie — ozwał się po długiej chwili milczenia Leszan — nie gniewaj się na mnie i za złe mi nie bierz tego, że ci się zapytam, czy ty, przyjacielu chcesz już wiecznie pozostać wdowcem? Zestarzałeś się, zmieniłeś, bo żyjesz tak samotnie. Mnie się zdaje, że wesoła młoda żonka byłaby się wielce przyczyniła do twego odrodzenia, a i mury te posępne powitałyby z radością taką zdobycz, jaką jest świeża i śliczna gosposia.

— Ależ, Leszanie, tobie najmniej wolno o tem mówić — odparł śmiejąc się smętnie p. Wielimski, a wesołość poprzednia znikła nagle z oblicza jego.

— No, jam przywykł już do życia tułaczego i samotnego. Mówiłem ci przecie, że długo na miejscu nawet pozostać nie mogę, nie należy mi przeto narażać wątłej istoty na takie niewygody. Ale ty, przyjacielu, ty który tak piękne i wygodne posiadasz gniazdeczko, który latami jeszcze dość młody jesteś i piękny, tobie...

— Proszę cię, dajmy temu pokój — przerwał dość niecierpliwie p. Wielimski. — Późno już jest i sądzę, że po podróży czas ci już udać się na spoczynek. I obaj panowie wkrótce się rozeszli, każdy do swego udając się pokoju.

W oknie gościa długo jeszcze widać było blade światło lampki. Leszan siedział przy stole, trzymając album i przypatrując się uważnie jakiemuś rysunkowi. Była to fotografia panny Bożyckiej.

— Zaiste, dziwne podobieństwo rysów! Ah, piękne, idealnie piękne oblicze! — szeptał tęsknie do siebie. — Szlachetne to rysy mego ideału, za którym uganiam się całe życie i który znalazłem nakoniec w rzeczywistości, przechodzącej najśmielsze moje marzenia!

Wkrótce potem zagasło światło i tajemnicza powaga nocy otoczyła ciemnem ramieniem ponure mury zacisznego zamku.

Młody Janusz marzył tej nocy dziwnie pięknie. Przedzierające się przez chmury srebrne promienie księżyca, słabo oświetlały ciasny, acz schludny pokoiczek jego, dozwalając nam widzieć ubożuchne umeblowanie onego. Całym inwentarzem mieszkanka było: wieszadło do sukien, żelazne łóżko z czyściutką pościelą, dwa drewniane stołki i stolik, na którym leżało mnóstwo, w nieładzie porozrzucanych kartek. W chwilach bowiem wolnych rozmarzony młodzieniec pisywał wiersze, szczególniej, gdy go Jarmiła wesołym, przyjaznym choć naiwnym obdarzyła uśmiechem. Śpiąc, rzucał się niespokojnie na łóżku, wymawiając przytem niezrozumiałe wyrazy. Śniło mu się, że się znajduje pośród pięknego gaju zielonego obok czarującej dziewicy, siedzącej na żywym rumaku. Wnet jednak zmienił się ten obraz. Zdawało mu się znów, że wybiera się w podróż daleką, że ma na sobie strój ślubny pana młodego i buja gdzieś w górach Armenii, otoczony klombami, kwiatami i przepysznemi palmami, z po za których wychyla się piękna dziewica w białej, jedwabnej sukience, w niebieskich, atłasowych pantofelkach, wyciągając do niego drobne rączki. On ją chwyta w ramiona i stroi w najdroższe klejnoty, w brylanty, szmaragdy, perły...

Chóry niewidzialne, sławiąc i chwaląc Pana, śpiewają i grają pieśni wesołe młodym oblubieńcom... i już, już mają oboje uklęknąć przed ołtarzem, wznoszącym się ponad klombami pysznych kwiatów, kiedy nagle wyrywa mu się eteryczna postać dziewicy i uciekać poczyna do gaju. W uciekającej poznał Janusz naraz śliczną, rozkoszną Jarmiłę, śmiejącą się pusto na całe gardło.

Nagle się zbudził i spostrzegł, że czas wielki do roboty, bo ruch ożywiony panował już na dworze.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FIOŁKI.

O! lubię fiołki, jak ciche marzenie,
Które w noc wiosny czoło mu promieni,
Jak za czemś miłem głębokie westchnienie,
Jak ustroń pełną pół świateł, pół cieni.

O! lubię fiołki, jak te słowa pieśni,
Co mi najpierwsza w duszy się ozwała,
Jak sen młodości, co się kiedyś prześni,
Jak tę nadzieję, którą ma pierś drżała.

A tak mi miłe tych kwiateczków wonie,
Tak z niemi lubią pieścić się me dłonie,
Jak blask spojrzenia dla nas kochanego,
Gorący promień słoneczka letniego.

Jak złotych rojeń, cudne pyszne sploty,
Jako najpierwsze serca uderzenie,
Wspomnienie miłej, serdecznej pieszczoty,
I szczere z duszy dłoni uściśnienie.

Maryś Napieralski.

ZBRODNIA W AWERSIE.

TRAGEDYA HISTORYCZNA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Dalszy ciąg.)

AKT PIĄTY.

Odsłona druga.

Sala w klasztorze S-go Piotra w Awersie. Naprzeciw widzów sklepiona alkowa z wielkim krucyfiksem. W jednej ze ścian bocznych drzwi; alkowę można zasłonić firanką która jest odciągnięta. Na sali wielki stół i ciężkie ławy. Po lewej i prawej stronie drzwi.

SCENA I.

Ludwik, Przeor, Klucznik klasztorny, Zbój pierwszy przebrany za sokolnika.

(Odsłoniona scena znajduje ich na środku sali.)

LUDWIK.

Co więcej trzeba?

(Wskazuje na drzwi po prawej.)

Tu króla komnata.

(Wskazując na drzwi z boku alkowy.)

Tu się poskładają sprzęty.
Pokoju tego dokąd drzwi wychodzą?

PRZEOR.

Na korytarze.

LUDWIK.

Czy pokój zamknięty
Być może?

PRZEOR.

Tak jest. Okien strzeże krata.

LUDWIK.

To dobrze — a klucz od drzwi na korytarz?

KLUCZNIK.

Oto jest,

(Daje klucz.)

A ten drugi od alkowy.

LUDWIK (biorąc klucz).

Ten nie potrzebny.

(Daje klucz zbójowi.)

Zobacz czy zamyka
Łatwo.

(Zbój wychodzi drzwiami w alkowie.)

PRZEOR.

O pościel książę nie zapytasz?
Koronowane odwiedzały głowy
Nieraz ten klasztor; — jest wszystko.

LUDWIK.

Na łowy
Nasz król się wybrał; — noc prześpi jak łowiec.
Na siano skóry rzucą się niedzwiedzie,
I to go bawi.

PRZEOR.

Ale dla królowej...

LUDWIK.

Ta jeszcze z większą rozkoszą przewiedzie
Dwóch, trzech dni trudy;—potem przez lat wiele
Jest czem się chwalić. Mój ojcze przeorze,
Ludzie są ludźmi na wsi czy na dworze!
Ci którym łabędź dał puch na pościele,
Z dumą się chlubią, że znają rogoże!

(Zbój powraca.)

Cóż klucz?

ZBÓJ 1-szy.

Szedł twardo — napił się oliwy
I raźny teraz.

LUDWIK (śmiejąc się do Przeora).

Zawsze jedne dziwy
Sprawia napitek. Będą tu madziary
A piją dobrze, zwłaszcza napój stary; —
Piwnicy biada mój ojcze przeorze!

PRZEOR (z uśmiechem).

Niż moja głowa starszą im otworzę!
Na gości takich czekała lat tyle.

LUDWIK.

Stół ten wyborny i dębowe ławy,
Jak się królewska ucieszy z nich para.
Może się tylko nasz ojciec postara
O jakie wyższe dwa stołki.

(Przeor i klucznik odchodzą.)

SCENA II.

Ludwik, Zbój pierwszy.

ZBÓJ 1-szy.

Buławy
Godzien nam jesteś wodzu! Do rozprawy
Miejsce wybrane jakby okiem mojem,
Przed twą biegłością wodzu ugiąć czołem!
Orszak węgierski w mieście na kwaterze,
Ci zaś co stoją w celach rozrzuceni,
Gdy stary maślacz ożywi wieczerzę,
Spać będą twardo trudem uznojeni.

LUDWIK.

Rozpatrz się dobrze w miejscu. Nasza sprawa
Tu się zakończy.

ZBÓJ 1-szy.

I będzie bez broni?

LUDWIK.

Bez broni.

(Zbój probuje podnieść ławę.)

W oko wpada ci ta ława?
Kłoda ta z dęba tu żelazem zbita,
Nie będzie bronią dla wyrostka dłoni.
Odejdź do swoich — a nie pić mi wiele!

(Zbój odchodzi drzwiami na lewo.)

SCENA III.

Ludwik, Dworzanin króla, służba z nakryciem stołu.

LUDWIK.

Słońce nadchodzi. Król się nam pojawi
Za chwilę, — śpieszcie! — Idę na spotkanie.

(Odchodzi.)

DWORZANIN (do nakrywającego).

Spieszcie! bo wiecie znój i głód nie czeka.
Wielkim obożnym takiego człowieka
Chciałbym mieć zawsze jak Tarentu książę!
Jaki to nocleg wygodny, wspaniały
Nam przygotował w kwaterach na mieście,
A wina! choćby ludzi spoić dwieście!

(Mnichy wnoszą dwa wysokie stołki pokryte czerwonem suknem i parę kruż wina.)

Tu je postawić — tu król — tu królowa.

(Mnichy odchodzą.)

Na stół z puzderka trzy złote puhary
Inne dać srebrne. Przysunąć do ściany
Te od przeora marsali dwa dzbany,
I mieć pod ręką króla tokaj stary.

(Ogląda nakrycie.)

Wszystko w porządku.

MNICH (we drzwiach).

Król już jest w klasztorze!

DWORZANIN.

Dać zaraz światła.

(Odchodzą.)

SCENA IV.

Andrzej, Joanna, Ludwik, Przeor, Dworzanie.

Służba stawia na stół trzy kandelabry i odchodzi. Zaraz wchodzi król, królowa i Ludwik, o parę kroków za niemi dworzanie i służba.

ANDRZEJ.

Pokój domowi temu!

PRZEOR.

A i sława!
Gdy gość tak wielki pod dach jego stawa.

LUDWIK (otwierając drzwi komnaty).

Oto na nocleg dzisiajszy komnata.

JOANNA (rzuca okiem w komnatę).

Cóż to? w tej izbie widzę wiejska chata!
Zapewne król mój wymyślił posłanie.
Sielskim zwyczajem na pachnącem sianie!

ANDRZEJ.

Łowów bogini w olimpijskich górach,
Na kwiatach i lwich zasypiała skórach.

(Do Przeora.)

Ojcze, przeżegnaj łowiecką wieczerzę.

(Przeor odmawia cicho modlitwę i żegna stół, Andrzej prowadzi Joannę do stołu.)

JOANNA.

Czy to dla głodnych skrócone pacierze?

(Z uśmiechem.)

Jak czytasz w oku mem ojcze Przeorze.
Siadajmy.

(Zabierają miejsca i jedzą.)

ANDRZEJ (do Ludwika).

Łowczy nasz wielki, czy łowy
Jak dziś przyrzekasz dla naszej królowej?

(Do Joanny.)

To cuda o twym prawić białozorze!

LUDWIK.

Jutro znajdziemy trzciny i rogoże,
Nie chybił dzisiaj żadnej kuropatwy; —
Zobaczym jutro, — z czaplą bój niełatwy.

JOANNA.

I pobił wszystkie królewskie sokoły,
Ja o zwycięztwo jego się założę
I w trzcinach księcia.

(Król pije a za nim i inni.)

ANDRZEJ.

I nikt nie pochwali,
Tej jako złoto szlachetnej marsali?
Napełnić próżne puhary panowie!
Królowej łowów wychylimy zdrowie!
I niech się kwiatem odziewa, weseli
Pole Awersy, pole Urticzelli,
Co bój Dyanny widziało zwycięzki,
Ale niestety! widziało i klęski,
Tak, nasze klęski. Klęskom twarz pogodna!
Panowie w górę puhary i — do dna!

(Pije.)

LUDWIK.

Sto lat królowej.

MADZIARY.

Eljen!

PRZEOR.

I na chwałę!

JOANNA.

Na zdrowie tego co sam się rozbroił,
By bronią własną w łowach zwyciężony
Wieńcem zwycięztwa me czoło ustroił!
Koń i białozór wczoraj były czyje?
Dawcy zwycięztwa ja więc zdrowie piję,
Ale tokajem!

(Trąca się z królem i pije.)

LUDWIK.

Niech żyje!

WSZYSCY (prócz króla).

Niech żyje!

(Piją.)

LUDWIK.

A dzień jutrzejszy na Kapui błoniach,
Niechaj nam będzie połowem bogaty!

ANDRZEJ.

I tak wesoło spędzony na koniach!

(Pije a z nim wszyscy, Joanna zamyśla się.)

Co to Dyanna tak nam zamyślona?

JOANNA (jakby się budząc).

To o sukience...

(Śmieje się.)

Nic! jestem znużona.

(Andrzej wstaje od stołu, służba zbiera).

MADZIAR DWORZANIN.

A czy pozwolisz najjaśniejszy panie
Że się tu wierna twa służba zostanie?

ANDRZEJ (rozglądając się po izbie).

Gdzie? tu? na cegłach?

MADZIAR.

Powiadają starzy,
Czujność najlepszą pościelą na straży.

ANDRZEJ.

Zostać!

LUDWIK (na str.).

Przekleństwo! tegom nie przewidział!

(Przeor się kłania i chce odejść).

ANDRZEJ.

Nie ojcze! zostańcie na chwilę.

SCENA V.

Ciż sami.

ANDRZEJ (wyjmuje z za odzieży książkę, otwiera ją i daje Przeorowi).

Tę nam modlitwę przeczytaj Przeorze.
To przed spoczynkiem modlitwa królewska.

(Klęka, za nim wszyscy; Joannę ma po jednej stronie, Ludwika po drugiej, za sobą dworzan i służbę, Przeor klęczy na przeciw króla.)

PRZEOR.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.
Miej Ty nas w swej opiece wszechmogący Boże!
I ty Boga Rodzico, Panienko Niebieska!
Pod cieniem nocy nie daj zbrodni rosnąć Panie!

(Wszyscy odpowiadają.)

Amen!

Płodzących grzech zatrzymaj nad przepaścią Panie!

Amen.

JOANNA (na str.).

Krew mi zastyga w żyłach!

LUDWIK (na str.).

Ah! zdradzony!!

PRZEOR.

Porzucającym zbrodnię okaż zmiłowanie;
Mieczem sprawiedliwości złych niech wydrze
[skrucha.

Amen!

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.

(Wstaje i oddaje Andrzejowi książkę.)

(Andrzej całuje rękę przeora, za nim wszyscy, potem Andrzej daje rękę do pocałowania Ludwikowi, który ją bierze w swoją.)

ANDRZEJ.

Jak drży twa ręka.

LUDWIK.

Ja... jestem zwyciężony
Nocą bezsenną... łowami... i skwarem,
Dobity panie twych krajów nektarem,
Lecz świt powitam wywczasem skrzepiony.

ANDRZEJ.

A więc do jutra!

(Do Madziarów.)

Ten marsali dzban
Bierzcie i idźcie!

(Wskazując krucyfiks.)

Strażą moją Pan!

(Lekko się kłania, wszyscy odchodzą.)

LUDWIK (na stronie, odchodząc).

Ha! odetchnąłem!

ANDRZEJ (zamyka drzwi na klucz, zostawiając go w zamku, gasi dwa kandelabry, bierze trzeci i z uśmiechem do królowej).

Wiesz, śpiący na sianie
Sług nie miewają.

(Bierze Joanny rękę.)

Jak lody twe dłonie!
Co tobie jest?

JOANNA (pomieszana).

Mnie? co? mnie? nic — chłód wionie
Z tych murów. Ciepło znajdę przy twem łonie.

(Wchodzą do sypialni.)

(*Dokończenie nastąpi.*)

KILKA DNI W NOWYM-YORKU.

Z NOTAT PODRÓŻY

KAROLA BIGOT.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Co chwila zmienia się panorama, coraz nowy przedstawia nam widok. Na pierwszym planie Hudson, jak Dunaj pod Gieorgiewem, toczy żółtawe wody, krzyżują się po nim bez ustanku parowce, tratwy i łodzie rybackie. Za Hudsonem piękne ciągną się wzgórza, na nich rozsiane fermy, wsie i miasteczka, pola i łąki a szczególniej gaje i lasy. I czemuż nie przybyliśmy tu o kilka tygodni wcześniej, by widzieć ten kraj w pełnym blasku pogody jesiennej. Teraz liście opadły w wielkiej części, na pniach sterczą nagie gałęzie, gdzieniegdzie zaledwie, jakiś liść nieznanego w Europie drzewa, połyska zdala barwą złotą lub purpurową.

W południe, na pochyłości tych wzgórz, po prawej stronie Hudsonu, spostrzegamy Westpoint, wojskową szkołę amerykańską. Trudno wybrać

właściwsze miejsce. Tu opuszczamy Hudson, kierujemy się ku północy. Jedziemy brzegiem małej lecz bystrej rzeczki, wpływającej do Hudsonu; brzegi jej dzikie i strome. Miasteczka i wioski coraz to rzadsze, okolica to prawdziwie amerykańska całkiem odrębna od Francyi, Belgii, Holandyi, Anglii i Północnych Niemiec, gdzie ziemia tak droga, na tak drobne pokrajana cząstki. Wkoło błonia pokryte wrzosem, zżółkłą trawą; tu owdzie na drzewach czerwienieją szczątki nieopadłych jeszcze listków. Po mglistym poranku, nastąpił dzień prześliczny. Powietrze lekkie i przezroczyste na niebie niedopatrzyć najdrobniejszej chmurki. Słońce nad zachodem błyszczy otoczone płomienistą aureolą. Po ulewach nastąpiona pogoda, jak mówią, nie prędko nas opuści.

Od Nowego-Yorku posuwamy się naprzód szybkim pędem. Ubiegamy stosownie do miejscowości od 50 do 60 mil angielskich na godzinę. Noc zapadła, kiedy stanęliśmy przed dworcem w Rochester. Na stacyi pełno ciekawych, uwiadomieni o przejeździe naszym, zbiegli się by powitać Francuzów, chcą widzieć delegacyą, posłyszyć Lessepsa i Bartholdego. W dwóch innych jeszcze miastach zatrzymał się pociąg, po dwakroć jeszcze słyszeliśmy okrzyk na cześć Francyi.

Podano obiad. Kończyliśmy go wesoło, kiedy pociąg nagle się zatrzymał. Pan Chaunsey oznajmił, że jesteśmy w Niagarze. Wybiła dziewiąta, przez jedenaście godzin przebyliśmy ogrom na przestrzeni między Nowym-Yorkiem, a słynnym wodospadem. Jedna tylko ulica dzieli nas od hotelu, na lewo słyszymy głuchy a silny łoskot wody. Zbyt blizko jesteśmy od potworu, by nas nie wzięła chęć spojrzyć mu w oczy jeszcze bliżej. Noc jasna, niebo zasiane milionem gwiazd, młodziuchny księżyc, błyszczy w pośród nich srebrnym sierpem. W pięć minut, zszedłszy na dół jesteśmy na brzegu Niagary.

Kto ma dobry wzrok, może rozróżnić dwie masy spadającej wody rozdzielone wysepką. Inni dostrzegają tylko w górze białe centki kotłującej wciąż piany, a poniżej kłąb chmury buchającej z głębi odmętu. Wśród milczenia uśpionej przyrody, uderza nas tylko wielki głos Niagary, jednostajny, równy, poważny, nieprzebłagany jak konieczność, tem groźniejszy im słuchamy go dłużej.

Gdybym był wielkim mistrzem pióra, odważyłbym się odmalować Niagarę. Nie czując sił po temu, obieram zadanie skromniejsze. Pragnę poprostu dać poznać czem jest Niagara i opowiedzieć moją wycieczkę do niej.

Północ Ameryki, tworzy ogromną płaszczyznę wysoko podniesioną nad poziom. Śniegi padają tu bezustanku i gromadzą się obficie, podczas długotrwałej pory zimowej.

Kiedy te śniegi stopnieją, woda spływa z nich na dół, do pięciu wielkich jezior, zwanych: *Jezioro Wyższe, Michigan, Huron, Erie i Ontario.* Z tego ostatniego wypływa ogromna i bystra rzeka *S-t Laurent* i zanosi do Oceanu Atlantyckiego nadmiar wód, z pięciu powyższych jezior.

Trzy największe z nich: *Jezioro Wyższe, Michigan* i *Huron*, łączą się same z sobą. Szeroki znów kanał łączy Huron z jeziorem Erie, ale pomiędzy tem ostatniem a Ontario, stoi olbrzymia zapora, zwał opok długości trzydziestu sześcin mil angielskich. Ten próg skalisty nie mógł zatrzymać wylewu wody, otworzyła też sobie drogę, a tą drogą jest rzeka Niagara.

Między jeziorami Erie a Ontario, wielka jest różnica poziomu. Woda z jeziora Erie, mogła przekroczyć zaporę skalistą, lecz nie mogła wyżłobić w niej koryta, aby dopłynąć spokojnie do Ontario. Ztąd powstał gwałtowny wodospad.

Był zapewne czas kiedy Wodospad Niagary, rzucał się wprost do Jeziora Ontaryo, u jego zachodnich wybrzeży, stromemi najeżonych skałami. Niagara spadała w jezioro, z wysokości co najmniej stu metrów olbrzymią masą wody. Musiał to być przepyszny widok ale niewidziało go ludzkie oko. Pomału woda wyżłobiła i pokruszyła skały. Tym sposobem, od roku do roku, od wieku do wieku, wodospad Niagary oddalając się od Jeziora Ontario, cofnął się ku jezioru Erie. Dziś znajduje się niemal w pośrodku, między jednem a drugiem. Powoli, cierpliwie, rzeka prowadzi coraz dalej dzieło zniszczenia. Geologowie mogliby obliczyć za ile tysięcy lat dokona go ostatecznie i obali twardą zaporę. Ale jak człowiek nie widział początków tej olbrzymiej pracy, tak zapewne nie ujrzy jej końca.

Zobaczmy teraz jak wygląda wodospad. W górze szeroka masa wody, stosunkowo nie zbyt głęboka, stacza się z niesłychaną szybkością przez łożysko, utworzone z oderwanych brył skały. W pośrodku mała wysepka, zwana Goat Island, wyspą kozią, rozdziela tę massę wody, na dwa nierówne ramiona. Małe ramię bieży na prawo, ze strony Stanów Zjednoczonych, gdyż Niagara odgranicza te Stany od Kanady. Wielkie ramię, trzykroć szersze pędzi na lewo u brzegów kanadyjskich. Woda kotłuje się i pieni na tych skalistych złomach, skacze, pryska na wszystkie strony. Są to tak zwane *małe prądy.*

Poniżej na samym cyplu wyspy *Goat Island*, są dopiero prawdziwe wodospady, po lewej ręce wodospad małego ramienia, zwany *amerykańskim*, po prawej, olbrzymi wodospad kanadyjski *Horse-shoe*, tak zwany od kształtu podkowy. Jednym i drugim z wysokości pięćdziesięciu metrów rzuca się cała Niagara, w olbrzymią kadź, wydrążoną w opoce, o brzegach prostopadłych. Niżej jeszcze woda ściśnięta z obu stron, ścianami stromych skał pędzi wązkiem korytem do Jeziora Ontario.

Trudno zrazu pojąć jak w tem ciasnem łożysku, pomieścić się może tak wielka masa wody. Nic też dziwnego, że głębokość jej sięga do siedmdziesięciu metrów. Strach bierze na myśl samą, jak wściekle ścierają się prądy w tych bezdennych otchłaniach. Ztąd to, o trzy mile od wodospadu, powstają te straszliwe wiry, zwane wielkiemi prądami.

A teraz kiedy skreśliłem jak mogłem obraz Niagary, niechże w krótkości opowiem nasze odwiedziny.

Według umowy, w poniedziałek o ósmej rano, mieliśmy być wszyscy gotowi i nikt się też nie spóźnił. Słońce dopisało nam, poranek był prześliczny. Serca biły radośnie. Zawiadowca Niagiary ofiarował się służyć nam za przewodnika. Idziemy wszyscy za nim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Przyjaciel domu, komedya w trzech aktach Labisza i Delacoura.

Sztuka ta wesołego bardzo zakroju, choć zakrawa po części na komedyą, ale właściwie jest farsą bardzo zręcznie ułożoną.

Niejaki Paweł Celimare, szaławiła pierwszej klasy, szturmujący do serca wszystkich żon własnych przyjaciół, z któremi żyje w przyjaźni jedynie dla tego, aby łatwiej mógł żony im bałamucić, sprzykrzywszy sobie życie motylkowe, żeni się wreszcie z prawdziwej miłości, zakochany w żonie po uszy.

Dobroduszni przyjaciele, wiedzący o rogach innych, tylko niewidzący na własnych głowach wyrosłych, zaraz z pierwszym dniem małżeńskiego związku, otaczają państwa Pawłów czułem zajęciem się szczególniéj panią Pawłową, ale broń Boże, nie w zdrożnym zamiarze bałamuctwa, tylko w najpoczciwszej chęci wywzajemnienia się nowożeńcom za dowody mniemanej przyjaźni im niegdyś świadczonej.

Ale Paweł zna wybornie co taka przyjaźń znaczy, jako więc rozkochany, pobudzony zazdrością zaczyna posądzać poczciwców o złe zamiary, z których Venouilet jest safandułą wysokiej próby, a Bocardoni zawsze wesoły, zadowolniony tak pewny jest żony, że za wierność jej dałby się na kawałki porąbać. Dwie te postacie, narysowane lekko, swobodnie, jeden tkliwy melancholik, drugi jowialny i pełen życia, tworzą wyborne przeciwieństwa, wielce komiczne. Podrwiwając z siebie na uboczu, świadomi każdy osobno, jaki drugi nosił na głowie przystrój, nieodstępując swego przyjaciela, zatruwają mu życie i stają się natrętnikami dla nowożeńca, prawie nie do zniesienia.

Przyjaźń dwóch tych poczciwców, przeradzając się w prześladowanie, stanowi niejako główną akcyę sztuki, jako niby kara za miłostki i grzechy kawalerskiego żywota. Nieszczęśliwy też nowożeniec, prześladowany własną wyobraźnią, zmuszony ciągle bawić swych przyjaciół, zajmować się nimi, grać w karty, postanawia wreszcie jakimkolwiek bądź sposobem pozbyć się ich... ale jak?

Wybór środków trudny, wszystkie zawodzą, wyjawić właściwe powody swej czułości przyjacielskiej i tym sposobem wygnać z domu swego natrętników niepodobna. Wywija się więc jak może, wynajduje i to i owo wreszcie wpada na dowcipny pomysł pozbycia się obu naraz jeden. Udaje więc że jest w kłopotach i w imię przyjaźni żąda pożyczki stu tysięcy franków i to w przeciągu dwóch godzin.

Przyjaciele robią wielkie oczy, kulą ramiona, łatwiej im było nie widzieć umizgów do własnych żon jak pożyczyć pieniędzy: łatwiej było zgodzić się na rozmaite dogodności dla mniemanego przyjaciela, aniżeli użyczyć mu pożyczkę w gwałtownej potrzebie. Pragną więc zerwać wszelkie z nim stosunki, opuścić dom jego i korzystając z pierwszej lepszej sposobności, spełniają to z wielką radością gospodarza.

W przeprowadzeniu tej sztuki, ruchu i życia wiele, dowcipu niewymuszonego mnóstwo, drażliwych koncepcików w miarę, słuchając ubawić się

i uśmiać można dowoli, zwłaszcza, że gra artystów pełna swobody i naturalności.

Panowie: Grubiński i Śliwiński w rolach mężów wesołego i safanduły i rogali zarazem, wybornie się z nich wywiązali i wyzyskali wszystkie chwile do komizmu nadające się.

Pan Śliwiński w roli Celimara, owego motyla nagle małżeństwem uspokojonego, był cokolwiek za sztywny i czasami za poważny, mimo tego oklasków mu nie brakło na które najzupełniej zasłużył.

Panna Trapszówna w roli młodej mężatki, przedstawianą postać dobrze pojęła, oddała ją bardzo ponętnie i z wielką starannością, nawet w chwilach, gdy jest tylko niemym świadkiem akcyi odbywającej się na scenie.

Panna Micińska z panem Holtzmanem, przedstawili teściów bardzo zabawnie i grą swą dostroili się do całości.

G.

Wspomnienie o Maryi Stuart.

W miesiącu Lutym, przypadła trzechsetna rocznica śmierci Maryi Stuart, w roku 1587 nastąpionej. Z powodu smutnej tej rocznicy, Woss. Ztg. podaje bliższe szczegóły śmierci nieszczęśliwej tej królowej, która po dziewiętnastoletniem uwięzieniu w Szkocyi w zamku Fotheringay, piękną swą głowę położyła na rusztowaniu, jako znienawidzona rywalka królowej Elżbiety.

W dużej sali w samku, czytamy w opisie, przygotowano rusztowanie. Marya była spokojną zrezygnowaną.

— Wiesz pani zapewne, co ci pozostaje do uczynienia — rzekł zbliżając się do niej hr. Shrewsburry, wysłaniec królowej angielskiej.

— Czyń pan swoją powinność — odparła z godnością. I zwracając się ku zbliżającemu się pastorowi Fletcher, który już bezskutecznie ofiarowywał jej nieraz swoje usługi duchowne, rzekła. — Jestem katoliczką i pragnę umierać w tem wyznaniu. Pańskie modły nie są mi wcale potrzebne.— Nieważając na jej opór d-r Fletcher zaczął się głośno modlić, Marya Stuart, chcąc zagłuszyć jego słowa, odmawiała głośniej jeszcze psalmy po łacinie, żegnając się co chwila, zwieszającym się na jej piersiach krucyfiksem. Otoczenie jej tonęło we łzach. Królowa zwróciła się ku nim przypominając obietnicę zachowania się spokojnie i modliła się dalej po angielsku o odpuszczenie grzechów i za nieprzyjaciół.

W tej chwili zbliżył się kat. Zdjęto z Maryi Stuart wierzchni płaszcz z czarnej materyi. Na ufryzowanej peruce miała czarny welon, kibić jej ujęta była w czerwony aksamitny stanik, ręce ubrane były w tegoż koloru rękawiczki. Na piersiach dwa krucyfiksy: jeden złoty, drugi z kości słoniowej.

Posługacz, zdejmując z niej płaszcz, odebrał jej pierwszy.

Daremnie prosiła go o zwrot, mówiąc, że chce go dać na pamiątkę jednej ze swych służebnic, nielitościwy człowiek zzimną krwią zrabowany krucyfiks schował do kieszeni. Nikt z obecnych nie ujął się za stojącą nad grobem monarchinią.

Wchodząc już na rusztowanie, Marya Stuart raz jeszcze zwróciła się do swego orszaku:

— Nie płaczcie — rzekła łagodnie — powinniście dziękować Bogu, że zsyła mi oswobodzenie.

Skinęła przyjaźnie ręką i spokojnie, z wielką godnością weszła na rusztowanie, szepcząc:

— In manus tuas commenda.

Kat i jego posługacze wzruszeni uklękli, prosząc ją o przebaczenie.

— Przebaczam całemu światu — odrzekła ze słodyczą i położyła głowę na rusztowauiu.

Kat spuszczał już topór, gdy spostrzeżono, że królowa trzyma ręce skrzyżowane na karku, musiano je usunąć i wtedy jeszcze nie odrazu, skutkiem zapewne silnego wzruszenia, dokonał on smutnej tej operacyi. Dwukrotnie topór spadał na tę dostojną głowę. Nie dość na tem, gdy po odcięciu jej, kat chciał ją podnieść do góry, ujął perukę, a głowa potoczyła się po ziemi pod nogi obecnych. Jeden tylko hrabia Kent pozostał niewzruszonym.

— Oby wszystkich nieprzyjaciół królowej spotkał los podobny! — rzekł on dumnie.

— Amen — zawtórował mu d-r Fletcher.

I taka była mowa pogrzebowa nieszczęśliwej monarchini.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Pamieć śnieżna, która w Warszawie w ogrodach, dachach i szyldach kamienicznych tyle szkód narobiła, miała miejsce także w środkowej i południowej Europie i to przy nagłem obniżeniu temperatury. Szczególniéj wielkie śniegi spadły w Monachium, Zurichu, Genewie, Braganzy, Salzburgu, Ischlu, Wiedniu, Debreczynie, Gleichenbergu i Gorycyi. W Tryeście przez cały dzień srożyła się śnieżna burza, przerywana deszczem. Nawet w tak zacisznym zakątku, jak Abazya, termometr spadł o 2 stop. niżej zera, a śnieg pokrył ziemię na 10 centymetrów grubości. Podobne wiadomości nadchodzą z południowej Francyi, Włoch i Hiszpanii, gdzie śnieg pokrył wielkie przestrzenie kraju i przerwał kolejową komunikacyę. W Barcelonie, ludność ze zdziwieniem brodziła w głębokim śniegu którego nie widziała od wielu lat i to zawsze w bardzo małej ilości.

Polaków w Bulgaryi jest dosyć.

I tak: p. Anc, poddany belgijski, jest inżenierem w dyrekcyi robót publicznych; dr. Chełchowski, naczelnikiem wydziału weterynaryjnego w ministeryum wojny i głównym weterynarzem armii, inne też miejsca weterynarzy w armii bulgarskiej zajmują głównie Polacy, a mianowicie: w Zofii Czarnocki, w Płowdiwie Płaskowicki i Kozerkiewicz i jeszcze ktoś w Szumli, gdzie uprzednio był Winnicki.

Miał też do Zofii przybyć niebawem jeszcze jeden weterynarz z Warszawy.

Prywatnych lekarzy Polaków w Zofii jest obecnie dwóch: dr. Kozłowski i dr. Barbar.

Najbardziej wziętym dentystą stolicy jest także polak p. Muszler.

Do ostatnich czasów pełnił też obowiązki topografa ministeryum wojny, a obecnie pod naczelnikiem wydziału inspektorskiego sekretarzem korespondencyi zagranicznej jest W. Piekarski.

Obowiązki lekarza okręgowego w Gabrowie, pełni dr. Edmund Brzeziński, który bawi w Bulgaryi już od lat czterech.

Pracuje nadto w Bulgaryi kilku polaków w zawodzie aptekarskim.

Pp. Chełchowski, Brzeziński i Muszler są stałymi współpracownikami medyczno-hygienicznego wydawnictwa „Zdrawije“ i „Medicinskoje Spisanije“, (w Warnie).

Oprócz wymienionych, sporo jest jeszcze Polonii.

Pomimo jednak, że sama Zofia liczy 40 do 50 polaków, nie ma tu ani Towarzystwa, ani chociażby czytelni polskiéj — w ogóle mało tu bardzo nawet prywatnie dochodzi pism polskich.

Najwięcej takowych otrzymuje redakcya „Swobody,“ w której też czasem i cytaty z takowych spotkać można.

A gdy nasi rodacy żyją rozbici, nie usiłując zawiązać jakiegoś dla siebie ogniska, Niemcy naturalnie ściśle w towarzystwa z kasą i innemi instytucyami, ku zobopólnej korzyści lub uprzyjemnieniu pobytu na obczyźnie są zorganizowani.

Tak samo i Włosi mają swoje towarzystwo, które wcale dobrze prosperuje.

W Zagrzebiu wychodzi od niedawna miesięcznik pod tytułem: „Smotra za obcu prosvjatu“. W pierwszym numerze tego miesięcznika poświęcono osobny artykuł literaturze polskiej.

W kwestyi praw mężowskich. Na odbytej przed kilku dniami konferencyi adwokatów paryskich, dyskutowaną była kwestya, czy mąż ma prawo, bez zezwolenia żony, otwierać adresowane do niej listy? Odpowiedź wypadła twierdząco.

Dzienniki paryskie zajmują się również tem pytaniem, a gazeta „Temps“ ogłosiła zapatrywania się na tę kwestyą niektórych pisarzy.

I tak:

Aleksander Dumas wypowiada się bezwzględnie po stronie mężów, motywując swoją opinię argumentem, że Chrystus zwrócił uwagę matki swojej na przekroczenie zakresu swych obowiązków, skoro zażądała, by zamienił wodę na wino. Przeciwnego zdania jest pani Adam, podczas, gdy autorka Georges Peyrebrunc uznaje, że jakkolwiek tradycya przemawia za przywilejem mężów, niezgodny on jest przecież z dzisiejszym postępem cywilizacyi. Vacquerie przyznaje w tym względzie obu małżonkom równe prawa. Inni pisarze stają już to po jednej, już po drugiej stronie.

Realizm. Do jakiego stopnia dochodzi w paryskich teatrach ubieganie się za realizmem, dowodzi przedstawienie, przerobionej dla sceny powieści Zoli p. t. „Ventre de Paris.“

Trzeci akt tej sztuki przedstawia sklep z wędlinami. Dyrekcya teatru starając się o jak najdokładniejszy obraz sklepu, zawarła kontrakt z jednym z paryskich rzeźników, na mocy którego, ten ostatni zobowiązał się dostarczać na każde przedstawienie kilkadziesiąt funtów różnego rodzaju kiełbas, szynek, zimnej cielęciny i t. p. mięsiwa. Na pierwszem przedstawieniu miały kiełbasy tak apetyczny pozór, że po skończeniu aktu, personel teatralny zakupił cały dostarczony zapas.

Księżniczki tkaczkami dywanów. Córki członka węgierskiej izby magnatów, księcia Egona Thurn-

Taxis, nauczyły się tkać dywany i pracują pilnie wszystkie trzy przy warsztacie tkackim, mającym 150 centymetrów długości i 1 metr szerokości. Nauczycielką księżniczek była wychowanica tkalni dywanów w Wielkim-Becskerek, w pobliżu którego położony jest zamek księcia Thurn - Taxis, Ecska.

Wnuczęta królowej Wiktoryi. Przed kilku dniami obchodziła córeczka księcia Albany, księżniczka Alicya, czwartą rocznicę swoich urodzin, a z okazyi téj królowa Wiktorya poleciła wezwać dyrektora teatru maryonetek, aby urządził dla solenizantki specyalne przedstawienie w zamku Windsor. Dziecina uradowała się niezmiernie niespodzianką, ale następnego ranka ukazała się, prowadząc braciszka za rękę, w garderobie babki, poprosiła o posłuchanie i ze łzami w oczach rzekła: „Ty jesteś królową, ty możesz rozkazywać, więc nie pozwól, żeby zły duch, który wczoraj popychał, bił, a nawet zamordował kochane lalki, jeździł znów z niemi spokojnie; rozkaż, ażeby zrobili jemu to, co on innym zrobił". Królowa, wzruszona poczuciem sprawiedliwości dziecka, kazała przynieść niedobrą drewnianą lalkę i w oczach śmiejących się do rozpuku z radości dzieci, zamknąć ją do ciemnego pudła za karę.

Wallenrod na scenie w Rzymie. W teatrze rzymskim Apollo, przedstawiają z wielkiem powodzeniem operę Ponchiellego *I Lituani*, osnutą na Wallenrodzie. Na afiszu nie ma wzmianki o Mickiewiczu, lecz autor libretta, Chislanzoni, w przedmowie oddaje hołd wieszczowi i jemu przypisuje całą poetyczną kreacyą. Wystawa jest bogata, ale anachronizmy w kostiumach straszne: Aldona chodzi w jedwabnej sukni z ogonem, na której ma polski kontusik obszyty białem futrem. Inne polskie stroje są niby z XVIII w. Słowem, dla nas, wszystko to bardzo rażące.

Ranke przyjacielem polaków. W berlińskim „Tageblatt" ogłasza zamieszkały w Rzymie profesor Wichmann szereg artykułów pod tytułem: „Leopold Ranke wśród poufnych". W jednym z artykułów, czytamy co następuje;

„W rozmowie z pewną (nienazwaną bliżej) znakomitością ultramontańską zgodził się (Ranke) na jej pogląd. Gdy bowiem ów ultramontanin kruszył kopię za Polaków, obejrzał się Ranke na wszystkie strony z żartobliwą bojaźliwością i szepnął przyjacielowi Polaków pocichu do ucha:

— Na miłość Bozką, nie zdradź mnie, ale i ja jestem za Polakami! Przy tem dziwacznem zwierzeniu trzymał jednakże ręce przed ustami w ten sposób, że dla obecnych przyjaciół słowa te jego tajemnicą pozostać nie mogły. Następnie, kładąc palce na czoło, jak gdyby się nad czemś namyślał, dodał żartobliwie: — „Ale jestem przecież historyografem pruskiego państwa!"

Smutnym niewymownie był koniec życia zmarłego niedawno powieściopisarza francuskiego, Pawła Féval'a, Już od lat kilku umysł utalentowanego belletrysty zaczął mu stopniowo odmawiać posłuszeństwa, tak, że żyjąc ciałem, przechodził straszne męczarnie agonii ducha. Pamięć jego słabła coraz bardziej, rozsądek ulegał zamroczeniu, a siła wyobraźni odmawiała posłuszeństwa. Ponieważ jednak zupełne przerwanie działalności literackiej mogłoby, zdaniem lekarzy, stan ten pogorszyć jeszcze, przeto chory codziennie rzucał kilka myśli na papier, jakkolwiek praca ta sprawiała mu wielką przykrość i oddziaływała na niego coraz bardziej zniechęcająco. Myśli dręczonego cierpieniem biedaka niezdolne już były wcale się oderwać od jego rozpaczliwego stanu. W jednej z ostatnich tych notatek swoich pisze: „Gdzież się nareszcie podziała myśl moja? Czy jest jeszcze gdziekolwiek jaka jej cząstka? Dokądże mam iść, aby tę nędzną resztkę wygrzebać? Czyż już nieodwołalnie skazany jestem na milczenie? Moja ręka sama nie chce już pisać; to, co wymuszę z siebie, jest tem straszniejsze, że uchodzę za ostatecznie pokonanego i że zawsze pobity i niezadowolony zabieram się do odwrotu". Takie smutne skutki jednostronnego wysilania mózgu, są godną uwagi odwrotną stroną zawodu literackiego.

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Korespondent Słowa z Mentony, donosząc o tym strasznym kataklizmie powiada:

Piszę na dworze po dwóch trzęsieniach ziemi o godzinie 6 zrana i o 9; teraz 11—nikt nie został pod dachem, 6000 osób wyjechało; Nicea, San Remo i Ventimiglia równie nawiedzone, domy u nas niektóre całkiem zniszczone, kościoły i kaplice z tegoż powodu zamknięte; powozy stoją nad morzem ponajmowane na nocleg po 100 fr. za noc Kilka osób zabitych. Widok przerażający: ludzie powyskakiwali z domów tylko w kołdrach, bez obuwia, kobiety w okropnym stanie, rozczochrane, blade, najgorszy jednak stan tam, gdzie są dzieci. Ulice zawalone gruzami: antyki, wazony i ozdóbki wszelkie walają się po ziemi; w kilku miejscach ziemia pękła, telegrafować nie można, mosty na kolei popękały. Położenie bez wyjścia, bo niewiadomo kiedy tó się skończy. Pierwsze uderzenie było o godzinie 3, drugie o 6, trzecie w kwadrans potem, a czwarte, jak grzmot, jak piorun podziemny, miało miejsce o godzinie 9. Byłem wtedy koło poczty—biedna żona przerażona, leżała jak waryatka wołając na mnie po imieniu. Straty są olbrzymie! Popielec, a nie można iść do kościoła; chcą urządzić mszę na dworze, ale jeszcze nie ma pozwolenia od władzy. Pierwszego uderzenia o godzinie 3 nie słyszeliśmy; mówią, jakoby to było przewidziane. Ilu tu chorych poumiera? gdyż wszyscy wyskakiwali w koszulach, a dotychczas nikt nie powrócił pod dach. Szczęściem jeszcze, że pogoda cudna: ciepło i cicho. Co robić? Dokąd jechać? Amerykanie tylko obojętnie zachowują się, szczególniej ci, co z San-Francisco.

(*Godzina 3 po południu*). Jeszcze jedno było uderzenie o 1. Prorokowie mówią, że co 3 godziny ma się powtarzać. Telegraf nie funkcyonuje—poczta zniszczona, jakkolwiek nowozbudowana. W katedrze o godz. 6 ksiądz kończył mszę św., drugi zaś wychodził ze mszą, gdy dach zaczął padać kawałami. Księża uciekli i dopiero potem jeden wrócił, żeby wynieść Najświętszy Sakrament, ale nie wiem czy zdołał, bo już do Starego miasta nie puszczają. Mentona się wyludnia, ogromna część dotychczasowych mieszkańców przenosi się do *Cap Martin*, lasku o dwa kilometry ztąd odległego, wiozą ze sobą materace, kołdry, żywność, maszynki do gotowania; reszta mieszkańców na dworze. Powozy i omnibusy stoją nad morzem na promenadzie zapełnione chorymi. Na *plage* same namioty—sklecone z prześcieradeł, żaglów, dywanów; koło nich jakby cyganie rozłożyli się obozem. Cannes-Nicea nawiedzione—pociągi jednak chodzą. Matki mające tu z sobą dzieci, przechodzą okropne chwile!—jedna prawie obłąkana, bo kamień spadając z sufitu, ugodził w kołyskę dziecka. Niektóre ulice zamknięte. Komisya chodzi po domach, cechuje je i dzieli na możliwe i niemożliwe. My mamy nocować w korytarzu albo w sieniach.

(*Czwartek godzina 1 po południu*). Całą dobę trwało trzęsienie z przerwami krótszemi i słabszemi, a strachem coraz większym. Dworzec kolejowy oblężony, nie ma sposobu wyjechać tym, którzy tego pragną a i samych kufrów nie ma gdzie pomieścić. Ściany zewnętrzne domów stoją całe, gdy wewnętrzne wciąż obalają się. Noc spędziliśmy w saloniku hotelowym, a Anglicy biwakowali pod namiotami i nabawili się reumatyzmu; my naturalnie nie spaliśmy i za każdem wstrząśnieniem, a właściwie już po wstrząśnieniu, wybiegaliśmy na ulicę i *par acquit de conscience* tylko jakoś chodziliśmy—w kostyumach nieludzkich. Wyglądaliśmy jak żydzi w święto sądnego dnia, wszyscy w białych kołdrach, po ciemku, jak duchy. Potroszę przypominało to i Rigi o wschodzie słońca, tylko że to trwało 24 godzin. Dziś nareszcie o 6-ej było ostatnie uderzenie. A co bajek w nocy, Raz z przestrachem patrzyli na jakąś gwiazdę, dowodząc, że jej nigdy w tem miejscu nie było—jedna powiada *il vacille*—druga, dodaję: *c'est parceque le globe est en mouvement!* Potem o brzasku krzyki, wywołują chorych, starych krzycząc: *das Meer geht auf.* Wybiegam i widzę miraż gór przybrzeżnych—w miarę rozjaśnienia się rosną te niby fale, a ludzie wołają: „morze idzie na nas". Nie pomaga moje objaśnienie, że gdyby szło na nas, toby już zalało—gniewają się, że nie podzielam ich urojonych strachów. Wogóle stałem się bohaterem dnia w kółku tych wszystkich, z którymi się w nocy stykałem, a zaczepiałem każdego tak, że nawet mój płaszcz włoski, moje *tabaro* już znają.

Ani pomyślałem nawet, co zrobimy, to tylko wiem, że nic nie wiem. Czekam, by fala odpłynęła, by korytarze, sienie i ulice uwolniły się od kufrów i bagaży wszelakich. Ku Włochom jechać prawie nie ma racyi—bo tam większe zniszczenie, a dokąd na Zachód? nic nie wiem. W każdym razie tu trudno zostawać; nie ma prawie pokoju mieszkalnego, a przytem jeszcze jedna doba wstrząśnień, a możnaby zwaryować. Kiedy wstrzymać się od obaw i jakie podstawy po temu?

Każdy ruch powozu niespodziewany, każde niespodziewane skrzypnięcie i stuk drzwi zdaje się mruczeć: *memento mori!* A jeden drugiego nadto stara się osłabić na duchu. A co za rozjazd, co za wynoszenie się straszne, jak gdyby nieprzyjaciel był pod murami miasta! Tuż w ogrodzie jedna wije się w serdecznym śmiechu, drugiemu rany opatruje lekarz, a tam obwijają w kołdry i niosą. I śmiech i groza.

Najświętszy Sakrament wydobyto z gruzów. Ksiądz, który odprawiał mszę św., błogosławi Boga, że uderzenie miało miejsce w chwili, gdy odmawiał *Oraison derniere.*

Co pisać więcej? Banki pozamykane, nie ma gdzie zmienić pieniędzy, sklepy wszystkie zamknięte, składy wina zniszczone, butelki potłuczone, wino, koniaki w różnobarwnym strumieniu płynęły po ulicy. Apteka zamknięta, lekarstwa z popryskanych naczyń powylewały się, a lekarze w najlepsze wyjeżdżają. Wczoraj wysłałem list pierwszy, ten zamykam o 4-tej po południu.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wieczorowe. Suknia z materyi surah ma przód z materyi przerabianej w deseń perełkami, upięcie tylne i panier z wolantów koronkowych. Wykrój szyi przysłonięty chusteczką koronkową. Kokardy ze wstążki.

Ubranie strojne wizytowe. Suknia aksamitna z przypinanym trenem ma draperyę boczną atłasową, zakończoną szlakami koronkowemi, kolorowemi (polyhrom). U dołu przodu oszycie z piór; z boku na trenie kilka piór strusich różnokolorowych.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Starosta Zygwulski, powieść historyczna p. Adama Krechowickiego. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Historya Powszechna K. F. Beckera, wyszedł zeszyt 22 i 23 obejmujący historyą Grecyi i Rzymu w III okresie.

Złota Przędza poetów i prozaików polskich, wyszedł ogólnego zbioru zeszyt 44.

OD REDAKCYI.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądania zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIEL DZIECI

numer 13 wyszedł z druku i zawiera:
Pogadanki z Nauczycielem (z drzew.) — Omyłka (komedyjka). — Stado koni dzikich (drzew).—Możny i ubogi (wiersz). — Jan Chryzostom Pasek (z drzew). — Czyny nauczające.—Z sierocej doli. Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie.—Jedwabne sukienki (wiersz) Małpa czarnogłowa (z drzew.) — Szczęście Mateczki (wiersz.)—Pogadanki Starca na mogile Wandy. — Chłopczyk i ptaszęta (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

OD REDAKCYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę na kwartał drugi bieżącego roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 7?, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica ***Chmielna Nr 26 nowy.***

TREŚĆ: Ś. † p. Józef Ignacy Kraszewski. — Pierwsze kłopoty, z czeskiego przełożyła Helena R. (dalszy ciąg). — Fiołki (wiersz). — Zbrodnia w Awersie, dramat przez Karola Brzozowskiego (dalszy ciąg). — Kilka dni w Nowym-Yorku, przez Sewerynę Duchińską (dalszy ciąg). — Teatr. — Wspomnienie o Maryi Stuart. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. — Trzęsienie ziemi. W Dodatku: Kobieta, przekład J. Belejowskiej (ar. 2).

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1887 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



Pl. 677.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.